

POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka
UMCS
Lublin

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 3-go lutego 1945r.

Rok VII. Nr. 5

TO NAS BOLI

Wojska rosyjskie wyparły już Niemców prawie z całej Polski. Prasa angielska wielkimi literami pisze z radością o "uwolnieniu" naszych ziem. Czy my też podzielimy tę radość? Czy my też czujemy i mówimy między sobą, że Polska została już uwolniona? Zastanówmy się i odpowiedzmy sobie uczciwie i szczerze.

Tak, cieszymy się, że Niemcy zostali wyparci z Polski. Cieszymy się, że nie ma już panoszącego się prusactwa w naszych miastach i wsiach. Ze nie ma już obozów śmierci w Majdanku, Treblince, Oświęcimiu i innych, że nie ma już więzień wypełnionych najlepszymi Polakami. I cieszymy się wreszcie, że kara Boska spotkała Niemców za wszystkie ich zbrodnie popełnione na naszej ziemi.

Ale nie ma w nas tej radości, jaką przeżywali Francuzi, Belgowie lub Holendrzy, gdy wojska brytyjskie i amerykańskie uwalniały ich ziemie. Nie, nasza radość jest niepełna, ciąży na niej troska i niepokój o nasz kraj, o jego przyszłość, wolność i o jego niepodległość. Dla nas to jest tylko uwolnienie Polski od Niemców, ale nie powrót do wolności.

Nie myślimy w tej chwili o wojskach rosyjskich, które są na naszej ziemi. Jest wojna, wojska te w zwycięskiej walce z Niemcami tam przyszły, rozumiemy dobrze, że inaczej być nie może. Któżby Niemców stamtąd wyparł?

Ale myślimy o tym, że za tymi wojskami posuwa się nowa władza, która nazywa siebie polską władzą, ale która w rzeczywistości jest nam zupełnie obca. Nie wybieraliśmy jej, nie wyznaczaliśmy jej, nie prosiliśmy jej. Obca jest nam duchem, obca zamiarami, obca

sposobami rządzenia, obca nawet ziemią, z której przysłała.

Cóż nam z tego, że nie ma gubernatora Franka, kiedy zamiast niego wyznaczono nam innego pana, który może być najlepszym i najmądrzejszym człowiekiem, ale jednak jest nam obcy, bo żył od dwudziestu lat wśród obcych, im służył, dla nich pracował, a nas, całą Polskę, uważał zawsze za wroga swoich gospodarzy i za swego wroga, bo działał przeciw tej Polsce, w której myśmy się urodzili, żyli i której my służymy.

Cóż nam z tego, że nie ma już Majdanków i Oświęcimów i więzień strzeżonych przez Gestapo, kiedy wiemy, że ci, co się "rządzą" polskim w Lublinie nazywają, nie znają przecież innego sposobu rządzenia, niż groźbą i karą: kto nie z nami — ten przeciwko nam, tego uwięzić, zabrać mu cały dobytek, zesłać na Sybir, rozstrzelać.

Cóż nam z tego, że nie ma niemieckich rządów nad nami, gdy te nowe rządy nie pozwalają nam ani na swobodne wyrażanie naszych myśli, ani na pisanie w gazetach tego, kto co uważa za słuszne, ani na radzenie samemu narodowi i nad swoimi losami, ani na rozumną krytykę tego co jest złe; nie wolno tego, trzeba milczeć i słuchać, kto nie słucha — ten będzie zniszczony, tak jak to sam p. Osóbka, "premier" lubelski, zapowiedział.

Cóż nam z tego, że nie ma już niemieckich sądów i rządów, kiedy wiemy, że nasze życie będzie tak samo pod nahażem — nie wolno ci krytykować rządów, nie wolno ci strajkować, nie wolno ci kupić ani sprzedać domu, ziemi, konia, czy krowy, czy fabryki, nie

wolno ci pisać w gazecie, nie wolno obrać takiego czy innego fachu, nie wolno ci dziecka uczyć pacierza, nie wolno ci napisać w liście, że jest ci źle, że coś ci się nie podoba. Nie wolno ci. Nie wolno ludności głosować na takiego radnego do rady gminnej, czy miejskiej albo na posła do sejmu, jakiego ludność będzie chciała, ale trzeba "głosować" na tych ludzi, których narzuci ludności narzucona Polsce obca władza. Państwu ani jego rządowi nie wolno zawrzeć sojuszu z tamtym czy innym państwem, nie wolno wysłać posła tam gdzie to naszym interesom odpowiada, nie wolno zawrzeć takiej umowy handlowej, jaka byłaby dobra dla naszego gospodarstwa — bo obcy nam ludzie, którzy rządzą u nas, nie będą słuchać woli narodu, ale będą posłusznym i celom tych, którzy ich wyznaczyli.

Oto dlaczego nie czujemy jeszcze w naszych sercach i w naszych myślach, że Polska jest wolna. Bo to wszystko, czego teraz w Polsce nie wolno, to właśnie jest wolność, to właśnie jest niepodległość. O tę wolność i niepodległość walczyliśmy od 1939 roku, za tę wolność i niepodległość poszły śmierć miliony już, a nie tysiące, naszych obywateli — na polu walki, w walce podziemnej, w obozach koncentracyjnych, w ghettach, w komorach gazowych. To nas boli, to nas niepokoi, z tym nie możemy się zgodzić.

Wiemy, co to znaczy, gdy wojna przewala się przez kraj. Wiemy, jakie cierpienia musi wówczas znosić ludność po wsiach i miastach. Ale znieśliśmy te nowe ofiary

i cierpienia spokojnie, gdybyśmy wiedzieli, że tymi cierpieniami okupimy prawdziwą wolność.

Jesteśmy żołnierzami, którzy wiedzą już jak ciężka jest żołnierska dola na wojnie. Żołnierz jest wszędzie taki sam: walczy, wykonuje rozkazy, cierpi czasem głód i chłód, niewygody, bywa ranny, okaleczony, umiera. Taki już żołnierski los. Jako żołnierze umiemy ocenić wartość żołnierza i wartość wojska. Nic nam nie zamknie oczu na zdolności rosyjskich wodzów, na bohaterstwo i twardość rosyjskiego żołnierza. Niemcy są świetnym wojskiem, a przecie Rosjanie ich pobili.

Jako żołnierze, wiemy, że te zwycięstwa darmo nie przysły, że trzeba było płacić za nie krwią i życiem setek tysięcy żołnierzy. Czyż ich mogiły po naszej ziemi rozsiane mają się rozsypać i zniknąć bez śladu? Czyż ich ofiara ma być potrzebna tylko po to, by nam tak samo odebrać wolność, jak nam ją odebrali ci Niemcy, z których ręki oni polegli? Czy ta krew rosyjska przelana na naszej ziemi, w którą już tyle krwi wsiąkło, ma użyźnić naszą ziemię pod siew przyjaźni i uczciwego, sąsiedzkiego braterstwa, czy też tylko ma być dla nas przypomnieniem nowej krzywdy i świadectwem ich daremnej ofiary? Czyż ten dzielny żołnierz, walcząc w ciężkim żołnierskim trudzie, ma nie wiedzieć, że uwalniając naszą ziemię od najeźdźcy, nie przynosi nam prawdziwej wolności, bo jego śladem idą ludzie mali, obcy tej ziemi, niepragnący szczęścia dla niej, idą bezpieczni pod opieką jego bagnetu i niosą dla nas nowe kajdany za plecami zamiast wolności?

Poznań, Bydgoszcz, Gniezno,

Częstochowa, Kalisz, Kraków... Słyszymy nazwy tych drogich nam miast, słyszymy że wojska rosyjskie zdobyły je. I zaraz obok tego słyszymy, że z Lublina już wysłano komisje śledcze i sądy polowe, aby sądzić i skazywać tych Polaków, co się z rządami tych ludzi obcych z Lublina nie zgadzają. Anglicy i Amerykanie przywożą do Grecji, do Włoch i do Francji, które uwolnili, chleb, lekarstwa, ubrania, opiekę, życzliwość i sprawiedliwe traktowanie. Dlaczego te zwycięskie pułki rosyjskie nam tego samego nie przywożą, ale sprwadają nam wbrew naszej woli obce i nie polskie rządy, które rządzą bez prawa, bez sprawiedliwości, które przynoszą terror, prześladowania i deportacje?

To nas boli, to nas gryzie i to nam nie pozwala radować się tak, jak się radują Francuzi czy Belgowie.

Wierzmy jednak, pomimo naszego bólu i głębokiej troski, że i my, Polacy, kiedyś będziemy naprawdę wolni, będziemy sami urządzać swój dom, będziemy sami wybierali sobie rząd, że uzyskamy, jak to powiedział premier naszego rządu, prawo do rzeczywistej niepodległości naszego narodu. Wierzmy, ponieważ nie możemy się pogodzić z myślą, aby to morze krwi przelanej, te miliony poległych i zamordowanych, ten ogrom cierpień i nędzy ludzkiej poszły na marne, aby znów niewola panowała nad wolnością a bezprawie i gwałt nad prawem.

Ta wiara doda nam sił do wytrwania do końca w obronie naszych świętych praw.

KONNY ARTYLERZYSTA



Rysował ANDRZEJ WART

Sanitariusz

PRZEDSTAWIAM CZYTELNIKOM BOHATERA OPOWIADANIA

Kolega, o którym piszę, nazywa się Władysław Gaj.* Zewnętrznie nie wyróżnia się niczym od otoczenia. Jest mniej, niż średniego wzrostu, blondyn o jasnych, niebieskich oczach. Pochodzi z okolic Lidy, jest żonaty i ma córkę. Z zawodu rolnik, marzy o tym, aby wrócić do domu i nadal uprawiać ojczysty zagon. Człowiek, który ciężko pracował na chleb codzienny, schyłony ku ziemi — żywicielce, przechodził twardą szkołę życia i niewiele miał warunków ku temu, aby myślał wznosić się w sferę wyższych idei. Przyzwyczajony do praktycznego ujmowania spraw życiowych, nie był nastawiony na wzloty duchowe, o których czytamy w życiorysach niektórych sławnych ludzi. Nie powiemy o nim, że już z piersi matki wyssał miłość Ojczyzny ani, że rozczynuając się w swej młodości w pięknej literaturze, postanowił w późniejszym życiu naśladować bohaterów. Przeciwnie, wiemy, że wojna i związane z nią przeżycia pogłębiły jego wyjątkowy pogląd na życie.

Był w Rosji, a od r. 1942 służy w DSK /Dywizja Strzelców Karpackich/. Po raz pierwszy spotkali się w Iraku, gdzie Gaj przeznaczono na kurs dokształcający. Nie ukrywał on swego niezadowolenia z tego powodu. Uważał, że jest za stary /rocznik 1904/ i nie wierzył, aby w tym wieku mógł się czego nowego nauczyć, zresztą to, co umiał, całkowicie mu dotychczas wystarczało. Ostatecznie ustaliliśmy wspólnie, że Gaj będzie przechodził na kurs tytułem próby przez kilka dni, a jeżeli mu się ta praca nie spodoba, nikt go nie będzie do uczęszczania zmuszał. Po kilku dniach zmienił zdanie i zgodził się pozostać na kursie, ale zapala nie okazywał. Ożywił się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy omawiać tematy z historii i zagadnień życia społecznego. Brał wtedy udział w rozmowach i często wypowiadał zdrowe sady. W jego prostych słowach było wiele głębokiej chłopskiej mądrości i ciętości.

CO MÓJ BOHATER MYŚLI O WOJNIE I KSIĄŻKACH

Gdy pewnego razu mówiono o terminie zakończenia wojny, Gaj zauważył, że było by źle, gdyby to wnet nastąpiło. — "A co zrobisz — powiada — te "doktory" i "inżynierzy"? Zapytasz którego, to każdy w cywilu doktor albo inżynier, a musowo miał sześć pokoi i 700 zł. miesięcznej pensji. Nawet osobisty pana porucznika powiada, że dziennie zarabiał lekko 20 zł. Wojna nie może się jeszcze skończyć, bo ludzie są nadal głupi i niczego się nie nauczyli". — Zagadnienie, do którego zazwyczaj podchodzimy dość wstydliwie, Gaj ujął prosto i jasno. Wykpił naszą tak często spotykaną śmieszny przywarę.

Na kursie czytaliśmy "Ogniem i mieczem" i Gaj stał się wielkim miłośnikiem Sienkiewicza. Gdy ukazały się w sprzedaży początkowe tomy "Potopu", zaraz je sobie kupił. Ze względu na to, że w chlebaku żołnierskim niewiele jest miejsca na takie rzeczy, a także w obawie, że Gaj sam czytając nie wszystkiego zrozumie, odradzałem mu to, ale on powiedział, że po wojnie chce książki przywieźć do domu: — "Jedni gromadzą dolary, inni kasztany, ale gdy ja, co wyszedłem na wojnę mało umiejący czytać i pisać, wróciwszy przywiózę worek książek, to dopiero będzie nowość". — Nie odradzałem mu. Może dowiedzie.

WYBOROWY STRZELEC I SANITARIUSZ

Potem rozeszliśmy się. Pod Cassino słyszałem, że Gaj był sanitariuszem i wykazał dużo odwagi i poświęcenia, wynosząc rannych wprost spod ognia nieprzyjacielskiego. Gaj, którego dotychczas prawie nikt nie znał, stał się popularny. Koledzy mówili o nim z uznaniem, a opowiadając o wspólnych znajomych nie omieszkał wspomnieć o Gaju jako o dobrym koleździe i wzorowym sanitariuszu.

* Nazwisko zmienione.



Znoszenie rannych z góry Cassino

Nie było sposobności porozmawiania z Gajem ani po zdobyciu Monte Cassino, ani w czasie pościgu nad Adriatykiem, spotkali się dopiero pod Osimo w zamku San Pietro, gdzie kompania Gaja miała swój odcinek. Było więcej czasu, więc mogliśmy sobie wzajemnie opowiadać o własnych przeżyciach. Sprowadziwszy rozmowę na temat ostatnich walk, zapytałem przede wszystkim jak to się stało, że został sanitariuszem.

— "Bo to z początku wysłano mnie na kurs strzelców wyborowych. Mówią: Gaj! Będziesz wyborowym strzelcem. Rozkaz, to rozkaz. Dobrze, tak będę strzelał. Potem wróciłem do kompanii i kiedy potrzeba było sanitariusza, przypomniało sobie, że kiedyś, jeszcze w 3 Brygadzie odbyłem przeszkolenie sanitarne. Pyta pan porucznik czy chcę być strzelcem wyborowym czy sanitariuszem. A ja na to powiadam, że prawdę mówiąc, to jabyłem chciał, aby się wojna skończyła, ale kiedy trzeba wojować to trudno, tylko że ja sobie niczego nie będę wybierał i zrobię tak, jak pan porucznik rozkaże. A pan porucznik powiedział, co ja będę sanitariuszem. Taka to historia."

JAK BYŁO POD CASSINO

— "A pod Cassino to wasza kompania była w dużych kłopotach. Wyście najdłużej siedzieli w "Gardzieli". — naprowadzałem rozmowę.

— "Oj jak tam na nas mocno bili. Tu jeden ranny, a za chwilę jest ich czterech. Człowiek biegł od jednego do drugiego. Tu opatruję kaprala Dragana, a tam znowu ktoś krzyczy. To ja biegnę do niego. Powiada do mnie kolega, aby się nie śpieszyć, bo mnie zabiją. To i prawda, że zabić mogą, ale choć ja i nie poszedłbym, kula może mnie znaleźć także w dziurze, a miałby człowiek nieczyste sumienie, że rannemu nie pomógł. Myślał ja sobie wtedy, że nas wszystkich wybija, ale wytrzymał i mnie się nic nie stało. Najgorzej było z ciężko rannymi, bo trzeba ich było nieść w miejsca trochę

zakryte. Chłopa dźwigać to ciężko, ja nie taki mocny, a przecież na śmierć go nie zostawię. Chłopaki chętnie pomagali, ale trudno było rannych przenosić. Czasami bywało, nieśli rannego, a sami oberwali."

— "Raz to i uśmiełem się. Trzasnął pocisk w drużynę pchr. Zd. i wszyscy zostali ranni. Aż się za głowę złapałem. Opatrzyłem ich prowizorycznie i pytam, który z nich pójdzie o własnych siłach. Był tylko jeden taki. Kto poniesie resztę? Tak martwiłem się nie wiedząc, co zrobić. Za chwilę padł znowu pocisk, a gdy następny uderzył jeszcze bliżej, wszyscy ciężko ranni porwali się na nogi i ganiają do B.P.O.* Jeden, co prawda, zemdlął w drodze, ale inni doszli. Tak, choć mi ich żal było, musiałem się trochę śmiać, bo uważa pan, żaden nie może się ruszyć, a tu naraz idą i to biegiem!"

JAK MÓJ BOHATER PRZENIOŚŁ RANNEGO PRZEZ RZEKĘ

— "Teraz śmieję się z tego, ale kiedy przypomnę sobie tych chłopaków, co poginęli, to człowiekowi chce się płakać. Ten zabity, tamten zmarł z ran. Strach bierze myśleć o tym. Taki kapral Dragan. Krzyż Walecznych z Tobruku miał, został ranny w nogę pod Cassino, więc zawięzł go do szpitala. Noga goiła się, ale trzeba było jeszcze ze dwa tygodnie poleżeć, a potem pójść na masaż. Cóż, kiedy chłopak dowiedział się, że nasze wojsko znowu poszło do boju. Nie wytrzymał, uciekł ze szpitala i dopędził nas nad Chienti. Noga go bolala i trudno mu było chodzić, ale się do tego nie przyznawał. Obiecywał sobie, że gdy się wojna skończy nad Adriatykiem i Dywizja pójdzie na odpoczynek, powróci na dalszą kurację. Pan Bóg chciał inaczej!"

— "Siedzieliśmy nad Chienti. Wiadomo było, że zaraz na drugim brzegu byli Niemcy. Widzieli my ich przecież dokładnie. Naraz mówią, że Niemcy się wycofali. Jak się wycofali,

* punkt opatrunkowy

Nasi sanitariusze we Włoszech



Bogu, że żyje. Biedny Talik potem umarł. Wiedział ja, że tak będzie, ale zostawić go było nie sposób. Człowiek nawet gdy umiera, to mu się zdaje, że będzie żył. Talik też tak myślał. Dragana prznosił inny kolega i woda mu go porwała. Był już nieboszczyk, bo zmarł jak go zabierali. Znaleźliśmy go w rzece dopiero za kilka dni..."

DO DWU RAZY TA SAMA SZTUKA

— "Siedzę ja w dziurze nad rzeką i widzę, że na piachu oprócz nieboszczyków leży jeszcze jeden nasz żołnierz, co nie wygląda ani na zabitego, ani na ciężko rannego. Raz zdawało mi się, że poruszył głową. Myślę ja sobie, wszystko jedno, może się uda. Przeżegnał ja się, chorągiewkę zabrał i jazda do wody. Chorągiewkę trzymam wysoko, aby Niemcy widzieli, że ja sanitariusz jestem. Nie strzelali do leżącego. On się nic nie rusza i już mi się zdawało, że niepotrzebnie szedłem, ale kiedy uklękłem, widzę, że chłopak żyje i cicho mi powiada, że jest tylko lekko ranny, ale nie może odejść, bo co tylko się ruszy, to Niemcy zaraz strzelają. Tak ja jemu powiadam: cicho leż kolego, będziemy szukać jakiejś rady. Wyjąłem bandaż, zawinałem chłopu piersi, aby z daleka było widać. A Niemcy patrzają. Ja to czuję. Wziął ja kolegę na plecy i do swoich, a on jeszcze prosi, aby i karabin zabrać. Tego zrobić nie mogłem, bo tak przepis nie każe i wtedy mogliby Niemcy nas obu postrzelać. Powiadam ja: cicho siedź kolego i dziękuj Bogu, że żyjesz, a karabin to już jakoś dla ciebie przyszykujemy w kompanii. Nadzwągałem się, ale dostałem się do brzegu, a jak tylko schowaliśmy się za krzaki, to mój ranny w nogi i galopem do kompanii..."

Uśmiechnął się Gaj na wspomnienie o tym.

"... WTEDY BĘDZIE W POLSCE DOBRZE, GDY KAŻDY SPEŁNI SWÓJ OBOWIĄZEK"

— "Wszystko to, kochany Gaju, jest ładnie — powiadam — ale leżcie śmierci w gardło i mogli was tam ukatrupić."

— "Jest to i prawda, ale nie przymierzając, inni też czasem pchają się z własnej ochoty tam, gdzie nie muszą iść, a ja iść musiałem, bo to mój obowiązek. Żyć to jaby chciało i do domu wrócić także, ale ja mam już takie serce, że choćby i głową nałożył przyszło, nie mógłbym siedzieć, gdy ranny krzyczy. To jest wojsko i teraz jest wojna. Tak i ja sobie myślę, że gdyby ja się chował i nie chciał słyszeć wołania rannego, to i pan nie pochwaliliby mnie za to. Pan Bóg jest dobry i ja żyję, pomagam rannym, ile mam sił, bo od tego jestem. Co i mówić, pamięta pan, jak na kursie mówiliśmy o tym, że wtedy będzie w Polsce dobrze, gdy każdy spełni swój obowiązek. Czy ja miałbym być gorszy od innych?"

Gawędzieliśmy sobie potem z Gajem o rzeczach tj/pouf. to jest o stosunkach w kompanii, o innych kolegach, ale to nasze sprawy. Gaj patrzył pobłaźliwie na ułomności ducha ludzkiego. Pretensji do świata i ludzi nie miał. Czekał końca wojny. Chciał wrócić do swoich, do Polski. To było najważniejsze.

Zyczyłem Gajowi, aby zdrów wrócił do domu i zastał wszystkich swoich, a przypomniałem, aby mnie zaprosił, gdy będzie sprawiał wesele córce. . . Bardzo się cieszył Gaj tymi życzeniami i solennie przyobiecał, że na wesele zaprosi, byle wszystko skończyło się po naszej myśli.

Długo jeszcze myślałem o rozmowie z Gajem i o nim samym. Ten skromny chłop kresowy zaimponował mi. Pozostał dalej ten sam. . . Jak on dobrze pamiętał zdanie, że wtedy w Polsce dobrze będzie, gdy wszyscy spełnią będą swoje obowiązki. Ilu ludzi zdanie to powtarza przy lada uroczystej okazji i jak ono dalekie jest od tego, co czynią. . . Gaj wierzy w Polskę i na pewno się nie zawiedzie, bo uznając zasadę, rozpoczął jej stosowanie od siebie. Sam dobrze spełnia swój obowiązek.

Dzieci polskie w N. Zelandii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Na mostku łączącym okręt z lądem

I.

Data przyjazdu dzieci polskich do Wellingtonu była trzymana ze zrozumiałych względów w tajemnicy prawie aż do ostatniej chwili, a tyle było na ten temat domysłów w stolicy Nowej Zelandii, że konsul generalny R.P. nie bez racji określił z dawną oczekiwaną dzień jako — "D-Day".

Przypadł on na południe 31 października, kiedy duży amerykański transportowiec zawinął do portu ze swoim ludzkim ładunkiem.

Wszystko tak się złożyło, aby przyjazdowi nadać charakter wspólnej uroczystości polsko-nowozelandzkiej. Statek wiozł oprócz dzieci sporą ilość żołnierzy słynnej 2-giej dywizji nowozelandzkiej, wracających po odbytej kampanii afrykańskiej i włoskiej na odpoczynek. Przedstawiciele władz polskich i nowozelandzkich z premierzem na czele wyjechali motorówką na spotkanie statku, ale nim go dosięgli, na powitanie dzieci wybiegła niespodzianie depeza świetlna z portu. Nadawcą był okręt polskiej marynarki handlowej o zaszczytnie znanej nazwie i on pierwszy życzył dzieciom szczęścia w chwili przyjazdu do nowego miejsca pobytu.

Przedstawiciele władz oczekiwali na statku widomy dowód przyjaźni zadzierzgniętej między dziećmi a żołnierzami w czasie podróży. Okazało się, że nowozelandzcy weterani dobrowolnie przyjęli na siebie rolę piastunów i że dzieci przyglęły do nich, jak tylko sieroty mogą przyglądać do ludzi okazujących im serce. Po skończonej ceremonii powitania dzieci zostały na statku i aż do następnego dnia nikt z wyjątkiem przedstawicieli konsulatu i delegatów ministerstwa nie miał do nich dostępu.

Następnego dnia mianowicie miało się odbyć przewiezienie młodych przybyszów koleją do obozu specjalnie dla nich zorganizowanego przez tutejsze władze w Pahiatua, miejscowości oddalonej o jakieś 120 mil od Wellingtonu. Trzeba bowiem wiedzieć, że, nie tylko dzieci przybyły tu na życzenie rządu N.Z., ale przez czas ich pobytu, który może potrwać dłużej, będą gośćmi tego rządu, który zaoferował się żyć na ich utrzymanie i kształcenie. Jedynie pensje personelu polskiego przydanego dzieciom, oplaci rząd polski.

W tym miejscu należy wspomnieć o roli odegranej w doświadczeniu do skutku całego przedsięwzięcia przez p. Marię Wodzicką, żonę tutejszego konsula generalnego, chociaż wszelkie słowa uznania wydają się wobec jej zasług dla sprawy polskiej na tutejszym terenie, czymś zdawkowym. Niech zatem wystarczy krótkie stwierdzenie, że bez jej inicjatywy i wysiłków nie byłoby obozu dzieci polskich w N.Z.

Ponieważ rząd nowozelandzki dzieci utrzymuje, więc administracja obozu spoczywać ma w rękach Nowo-Zelandczyków, a mówiący

odbyła się ranna msza na pokładzie i miałem sposobność obserwowania dzieci w czasie modlitwy. Widok tych nieruchomych, prawie obojętnych twarzy w czasie modłów i śpiewów kościelnych robił wrażenie niesamowite. Dopiero kiedy 700 dzieci z nieruchomymi twarzami zaczęło śpiewać na zakończenie nabożeństwa "Boże coś Polskę", kontrast między ich wyrazem a słowami pieśni stał się tak przejmujący, że piszącego te słowa zaczęło coś dawać w gardle i ogarnęło go zgłola niemieckie wzruszenie.

Ten skurcz w gardle pozostał w ciągu kilkunastogodzinnej podróży do Pahiatua. Trudno było się oprzeć wzruszeniu patrząc na te dzieci tak posłuszne i drobne, a przecież tak samodzielne i nad wiek dojrzałe, tak nieufne, a równocześnie tak wrażliwe na każde dobre słowo. Wobec nich tak łatwo było zdobyć się na życzliwość i serdeczność. Wszystko, co robiły, chwytano za serce.

Jeden z chłopców, którego wybrano do powiedzenia kilku naprędce skleconych słów podziękowania Nowo-Zelandczykom, miał na sobie potarganą koszulę i jakoś nie wypadło pokazać go w tym przyrodziewku. Więc w mig chłopiec schylił się do przodu i jakby sięgnął z grzbiotu swego sąsiada koszulinę nieco lepszą od własnej i był gotów do odegrania swej roli. Albo jak to było oprócz się uczuciu dumy, gdy inny brzdąc, jakiejś dobrotliwej pani, która mu ofiarowała pensa, z miejscą zrewanżował się drobną perską monetą. Albo te dziewczątka, naprędce zebrane, które na stacji w Palmerston North, gdzie było uroczyste przyjęcie, zaśpiewały kilka piosenek tak artystycznie, że gazety później piisały o tym z zachwytem...

Inna rzecz, że i miejscowa ludność uczyniła, co mogła, aby ten nastrój rozegzaltowania spotęgować. Bo z natury ogromnie ludzcy i kochający dzieci Nowo-Zelandczy przeszli samych siebie. Podróż polskich dzieci stała się prawdziwym pochodem triumfalnym. Na stacjach większych i mniejszych, a niejednokrotnie wzdłuż toru w szczyrzym polu stały szeregi ludzi uśmiechniętych, wymachujących rękami, z nęcącymi kwiatów, słodyczy i upominków. Jakaś dziewczyna w roboczym *overallu* poświęciła swój tygodniowy co najmniej zarobek, aby wszystkim dzieciom w pociągu rozdać lody — dla niektórych z nich bodaj pierwsze lody w życiu.

W Palmerstonie, głównej kwatery *Polish Army League* entuzjazm dosięgnął szczytu. W żadnym mieście polskim dzieci nie doznałyby lepszego przyjęcia, niż w tym ośrodku, którego mieszkańcy wiedzieli kilka lat temu tyle mniej więcej o Polsce, co dzieci polskie o Palmerstonie. Więc radością wzbierało serce, gdy widziało się, jak nieruchome i obojętne twarzyczki zaczynały tajać pod wpływem ludzkiej dobroci, nabierać kolorów i wyrazu, tak że pociąg przywiózł do Pahiatua dzieci już jakby inne, weselsze i ufniejsze.

Wywagowanie w Pahiatua było małym triumfem organizacyjnym niezbyt często spotykanym w tym kraju. Nieoceniony major Foxley nie darmo spędził kilka no-

cy nad obmyśleniem całego planu kampanii. Dzieci i ich opiekunowie byli podzieleni na grupy zapatrzone w kartki rozpoznawcze i na stacji przeznaczenia oczekiwali ich oddział szoferów wojskowych ponumerowanych w taki sam sposób, którzy w mgnieniu oka bez pomocy tłumaczy pozgarniali swoje owieczki, załadowali na samochody i powieźli do obozu.

Sam obóz składa się z kilkunastu mniejszych i większych baraków i domków mieszkalnych. Posiada nowoczesne kuchnie opalane ropą, kotłownię, światło elektryczne, prysznice, centralne ogrzewanie. Są budynki szkolne, duża kaplica, szpital, apteka, widne i przestronne sale jadalne i rozrywkowe. Sypialnie dla dzieci są przeważnie na 12 łóżek, gdzie dzieci śpią pod dozorem wychowawców; prócz tego jest 20 schludnych domków dla pomieszczenia rodzin i oddzielne pokoiki dla osób samotnych.

Dzieci w mig rozkwaterowano, nakarmiono i ułożono na spoczynek. Na drugi dzień nowoprzybyli spoczywali jeszcze snem sprawiedliwych, gdy nowozelandzcy kucharze wojskowi zaczęli krzątać się koło śniadania. Zaszedłem z ciekawości do kuchni, aby zapytać sierżanta-kuchmistrza, czy ma jakieś życzenia co do uchodźców. Owszem miał. Chciał wiedzieć, czy wolą kawę, herbatę, czy kakao, aby nie narzucać im napoju, do którego nie nawykli.

Tyle było takich i innych objawów serdeczności gospodarzy i tyle widomych oznak radości u dzieci, które cieszyło wszystko nie wyłączając rzęsistego deszczu i świeżej trawy prawie ze nieznanymi w Ispahanie, iż ciężko się było oderwać od obozu.

Po przyjeździe do Wellingtonu zastałem jeszcze w biurze wicekonsula, któremu zdałem sprawę i w zamian dowiedziałem się o stanie jedynych dwu chorych wziętych ze statku do szpitala. Nauczycielka ma się dobrze i wkrótce zostanie zwolniona, natomiast z nogą drugiego pacjenta, małego Krzysia, jest gorzej i grożą komplikacje. Przed pożegnaniem wicekonsul wyciągnął pudełko z kolorowymi kredkami i zapytał, jakby je można przesłać do obozu. — "Włóż do koperty i zaadresować do Pahiatua" — odpowiedziałem z pewnym zdziwieniem. — "Ale te kredki są bardzo cenne" — zauważył pedantyczny wicekonsul. — "Więc posłać listem poleconym, jeżeli takie kosztowne". — "Kosztowne zasadniczo nie są, warte są kilka pensów". — "Więc po cóż te ceregiele?" — "Bo widzi Pan" — i tu głos pedantycznego wicekonsula zadrgał jakoś dziwnie — "te kredki przyniósł ktoś Krzysiowi do szpitala, aby miał się czym bawić w swoim osamotnieniu. Krzysz poprosił mnie, abym je posłał jego bratu w obozie".

Takie to dzieci przyjechały do nas z Ispahanu.

II.

Nikt nie odmówi chyba Polakom zamilowania do romantycznych gestów i symbolów. Świadkiem tego był obóz w Pahiatua już w pierwszych dniach swego istnienia i trzeba przyznać, że rzadko kiedy umiłowano symbolicznych aktów przybrało bardziej wzruszającą formę, niż to się stało 5 listopada,

kiedy grupa polskich marynarzy odwiedziła obóz. Byli to marynarze z tego samego statku, który pierwszy świetną depezą przywiózł dzieci wjeżdżające do portu w Wellingtonie. Tym razem jednak umyślił on inną niespodziankę: ofiarowali dzieciom swoją banderę.

Już sama podróż marynarzy była symboliczna. Jadąc w odwiedzinę do dzieci w Pahiatua, tych najmłodszych polskich imigrantów w Nowej Zelandii, marynarze byli podejmowani po drodze w mieście Masterton, w prowincji Wairarapa, przez grupę rodaków, którzy tu przywędrowali około 70 lat temu, jeszcze z czasu wojen maoryskich. Sześćdziesięcioletni staruszek witając marynarzy pomorską gwarą — emigranci ci pochodzą z okolic między Tczewem a Starogardem — tłumaczył się, że mówienie po polsku sprawia mu trudności, bo "my młodzi rozmawiamy między sobą więcej po angielsku, ale starzy mówią jeszcze dobrze po polsku".

Wizyta marynarzy w obozie stała się wielkim świętem. Była chwilą nabożnej ciszy, wedle relacji naczelnego świadka, kiedy po przemówieniu kapitana streszczającym dzieje statku, pierwszy oficer wręczał delegacji harcerzy i harcerek okrytą chwałą banderę okrętową. Plakali wszyscy obecni Polacy i Nowozelandczycy, kiedy padały słowa owiane romantyzmem najczystszej wody: — "Dążyliśmy stale do tego, aby honor Polski jaśniał nieskalaną glorią. Oddając Wam tę banderę, wyrażamy ufność, że Wy, dzieci, będziecie godnymi spadkobiercami tej dążności". Po odpowiedzi polskiego komendanta obozu ogarnęła zebranych prawdziwa egzaltacja i okrzykom zapalu nie było końca. Publicystka nowozelandzka, pani Green, która chwilę tę utrwałała w doskonałym reportażu, zwierzyła mi się później, że odczuło to jako ulgę, gdy któryś z małych chłopców nagle pod wpływem wzruszenia "uciał koguta", poczym nastąpiło odprężenie. Na zakończenie uroczystości pierwszy raz bodaj na ziemi nowozelandzkiej rozbrzmiały słowa pieśni "Nie damy ziemi"...

Trwało to pewien czas, nim obóz mógł zabrać się do normalnej pracy. W kilka dni bowiem po wizycie marynarzy, dzieci żegnały tę część wojskowego personelu nowozelandzkiego, który był tu tymczasowo i po ukończeniu swojego zadania został odkomenderowany na inny, twardszy posterunek: front na Pacyfiku. I znowu rozegrały się wzruszające sceny, których obecni zapewne długo nie zapomną. Dzieci śpiewały i tańczyły w polskich strojach narodowych, żołnierze produkowali się w góralskich łamaciach szkockich i w maoryskim wojennym tańcu "Haka". Przyjaźni polsko-nowozelandzka święciła prawdziwe triumfy.

A później był jeszcze długi korowód dygnitarzy nowozelandzkich z Premierem na czele, odwiedzających obóz, nawiązanie kontaktu z radą miejską i ludnością Pahiatua, aż powoli korowód ten przedzielił się i obóz wszedł na drogę codziennego życia.

Stoi przed nim droga żmudnego wysiłku i dużej odpowiedzialności. Jest to odcinek najmłodszej Polski, uratowanej z pogromu, na którym wychowywać się mają jej przyszli obywatele. Jest to przy tym odcinek, na który zwracają się oczy całej tutejszej ludności, usposobionej w obecnej chwili nad wyraz przyjaźni, ale o naturze wyspiarskiej, skłonnej do ostrego sądu o wszystkim, co obce. Na obozie w Pahiatua ludność ta urabiać sobie będzie zdanie o Polsce i to zdanie będzie miało niewątpliwie pewną wagę po skończonej wojnie. Obóz jest tego w pełni świadom i jest również świadom swoich obowiązków wdzięczności wobec tutejszych gospodarzy.

Ale i Nowa Zelandia nie będzie miała zapewne powodów, aby żalować bezinteresownej gościnności udzielonej zamorskim przybyszom. Tych 700 dzieci, które nabrały tutaj siły i zdrowia, zmieni się po powrocie do Europy w tyłuż ambasadorów wysłanych w świat przez te odległe i odosobnione wyspy. Sądząc z wrażenia, jakie czyni ten dziecięcy element, będą to dobrzy i wierni ambasadorzy.

LEOPOLD HARTMAN

Premier Nowej Zelandii, Peter Fraser na pokładzie okrętu amerykańskiego, który przywiózł dzieci polskie /na lewo delegatka P.C.K. p. Wodzicka/



